

## **13. Wspomnienia wiejskiego pastora**

### **13. Wspomnienia wiejskiego pastora**

Kiedy zostałem pastorem w Waterbeach, zborownicy niewiele mogli zrobić dla mojego wsparcia finansowego. W związku z tym, byłem również asystentem nauczyciela w szkole w Cambridge. Po pewnym czasie musiałam zrezygnować z tej drugiej pracy i byłem teraz całkowicie zależny od hojności zborowników. Dali mi

pensję w wysokości 45 funtów rocznie, ale ponieważ musiałem płacić 12 szylingów tygodniowo za dwa pokoje, w których mieszkalem, to wynagrodzenie nie było wystarczające. Ludzie wprawdzie nie mieli pieniędzy, ale mieli własną żywność.

Nie wydaje mi się, żeby w tym czasie ktokolwiek w gminie zarządził świnie, a ja nie otrzymałbym jej pewnej części. Ludzie na zmianę przynosili mi chleb, kiedy wracali z targu z Waterbeach, tak że miałem wystarczająco mięsa i chleba, często nawet płaciłem tym za czynsz.

W Waterbeach był jeden starszy pan, który był wielkim skąpcem. Później, kiedy już wyjechałem do Londynu, wróciłem, żeby go odwiedzić. Słyszałem, że w swojej ostatniej chorobie, położył się do łóżka w salonie na niższym piętrze domu i wydał instrukcje, że jego grób powinien być wykopany bezpośrednio przed oknem, aby koszty jego pogrzebu były jak najmniejsze - tak niskie, jak to tylko możliwe. Jeden z jego przyjaciół, tak o nim powiedział: „Nie znam ani jednego przypadku, w którym by on coś komukolwiek podarował.”

„Cóż” - odpowiedziałem- „ja wiem lepiej, ponieważ pewnego niedzielnego popołudnia dał mi trzy półkoronówki, a że zamierzałem kupić nowy kapelusz, pieniędzy wystarczyło.”

„Bardzo dobrze”- odpowiedział przyjaciel - „ale jestem całkiem pewny, że nigdy nie wybaczył sobie tak niezwyklej hojności i z pewnością chciałby odzyskać swoje trzy półkoronówki.”

Nie usłyszał jeszcze całej historii. „W następną niedzielę staruszek przyszedł do mnie ponownie i poprosił, abym się za niego pomodlił, aby mógł być uwolniony od grzechu chciwości - bo, jak powiedział: «Pan kazał mi dać ci cztery półkoronówki, ale ja jedną zachowałem dla siebie i od tamtej pory nie mogłem spać spokojnie, ponieważ cały czas o tym myślałem.» W ciągu mojego życia słyszałam i czytałam wiele negatywnych rzeczy na temat zborowych diakonów. Wielu z moich ludzi, pełniących u mnie swoje obowiązki besztali ich; inni drżą na samo wspomnienie ich imienia; jeszcze inni ostrzają na nich swoje noże, jakby diakoni byli smokami w życiu pastora. Ja osobiście nigdy nie miałem powodu, aby powiedzieć o nich coś negatywnego. Moje obserwacje utwierdzają mnie w przekonaniu, że wśród diakonów jest równie wielu dobrych mężczyzn, podobnie jak wśród pastorów. Znajdujesz zarówno dobrych jak i złych w duszpasterstwie, w mniej więcej takich samych proporcjach, jak wśród diakonów. Spotykasz szlachetnych tu i tam i równie niewykształconych, krnąbrnych. Diakoni w moim pierwszym pastoracie byli, według mojej oceny, jednymi z najlepszych na świecie. Współpraca z nimi sprawiała mi wielką przyjemność.

Cieężko pracujący w ciągu tygodnia, a jednak nie było dla nich zbyt wiele także i w niedzielę służyć dla Pana.

Jeden z tych cennych braci, drogi stary chrześcijanin, powiedział do mnie pewnego dnia, kiedy zostałem zaproszony do jego domu na obiad:

„Chciałbym, żebyś nie wygłaszał tych *kazań o zaproszeniu*. Są one zbyt ogólne w swoich napomnieniach. Za bardzo zależy ci na tym, aby ludzie przyszli do Chrystusa. Nie jestem zwolennikiem czegoś takiego. Bo to nie zgadza się z moją wiarą.”

„Cóż”- odpowiedziałem - „jak myślisz, że co powinienem według ciebie głosić?”

Powiedział: „Chociaż nie lubię takich kazań, to oczywiste jest, że PAN je lubi, bo mój zięć przez takie kazanie nawrócił się do Boga i kiedy wróciłem do domu w następną niedzielę pełen gniewu, ponieważ byłeś pod takim wpływem Fullera, moja córka siedziała tam i płakała wylewając swoje serce.

„Więc” - dodał - „nie zwracaj uwagi na takiego starego człowieka jak ja. Tak długo, jak Bóg ci błogosławi, kontynuuj swoją pracę.”

Zapytałem: „Ale czy nie sądzisz, drogi bracie, że jeśli Bóg aprobuje ten sposób głoszenia, to tobie także powinien się on podobać?”. „Być może powinien, ale jestem starym człowiekiem i zostałem wychowany w innych poglądach. Obawiam się, że nie potrafię się ich pozbyć. Ale nie zwracaj najmniejszej uwagi na to, co mówię.”

Dokładnie to postanowiłem zrobić, więc w końcu byliśmy znowu tego samego zdania.

Jeden z moich diakonów w Waterbeach nazywał się King. Był bardzo skrupulatnym człowiekiem i prowadził księgi i inne rejestry zboru w godnym podziwu porządku. Był cichy, zamyślony, sprawiedliwy brat, ale z wielką gorliwością i ciepłem. Jego żona była dla niego idealną partnerką, w całej wsi nie było pary, która przewyższałaby ich dobrocią i mądrością. Pewnego razu King, dał mi przyjacielską wskazówkę. Nie powiedział mi, że powinienem łagodniej mówić, kiedy głoszę, ale kiedy wyszedłem z jego domu pewnego poniedziałkowego ranka, znalazłem szpilkę w mojej Biblii, wbity w Tytusa 2:8:

*„Przez mowę szczerą i nienaganną, aby przeciwnik był zawstydzony, nie mając nic złego o nas do powiedzenia.”.*

Nic nie mogło być delikatniej powiedziane. To mądre napomnienie, było naprawdę zasłużone i z radością przyjęte. King uczynił to tak zręcznie i umiejętnie, że jego wartość wzrosła w nieskończoność. Pan King był zarówno dla mnie, jak i dla zgromadzenia w Waterbeach diakonem wszystkich diakonów.

Przez pewien czas pewien mężczyzna chodził ze mną do wiosek, w których miałem głosić. Cieszyłem się jego towarzystwem, dopóki nie dowiedziałem się, jak żył i zaraz go otrząsałem. Prawdopodobnie przywiązany był do kogoś innego, bo co noc musiał być w drodze. Miał wiele dzieci, które wyrosły na bezbożnych mężczyzn i kobiety, a powodem było to, że ojciec cały czas biegał na te spotkania i nigdy nie próbował przyprowadzić żadnego ze swoich dzieci do Zbawiciela. Pewnego dnia powiedział do mnie:

„Nigdy nie kładłam rąk na moje dzieci”.

„W takim razie Bóg również na ciebie nigdy nie położył swoich rąk” - odpowiedziałem.

„Och” - kontynuował - „ale rozmawiałem z nimi surowo”.

„Wtedy i Bóg prawdopodobnie przemówi do ciebie bardzo surowo, bo to nie jest Jego wolą, aby rodzice pozwalali swoim dzieciom żyć w grzechach.”

Podczas mojego pierwszego pastorowania, jak i później, spotkałem wielu ludzi, którzy twierdzili, że są doskonali. Kiedy człowiek myśli o sobie jako o doskonałym chrześcijaninie, przypomina mi biednego chłopca, którego kiedyś znałem. Miał zbyt dużą głowę w stosunku do ciała, tak że często musiał kłaść ją na poduszce, bo była zbyt ciężka do udźwignięcia przez jego ramiona. Jego matka powiedziała mi, że kiedy próbował wstawać, często tracił równowagę, ponieważ jego ciężka głowa bardzo mu w tym utrudniała.

Są ludzie, którzy zdaje się, że bardzo szybko wzrastają, ale mają wodę w swoich głowach i proporcje nie są już właściwie zachowane. Ten, kto naprawdę wzrasta w

łasce nie mówi: „Jak wspaniale! Czuję, że rosnę!” Chwal tylko Pana i śpiewaj Mu zawsze pieśń pochwalną. Często mam wrażenie, że staję się coraz mniejszy i uważam, że jest to słuszne, że tak powinno być, a co więcej, że to jest dobre. Jeśli jesteśmy wielcy w naszym własnym mniemaniu, według naszej własnej oceny, to dlatego, że jesteśmy pełni rakowatych wrzodów, albo mamy nowotworowe narośla, albo ropne wrzody, które właściwie musiałyby być zoperowane, aby usunąć złośliwą przyczynę, która sprawia, że chęłpimy się własną wielkością.

Każdego dnia doświadczałam, że muszę walczyć z tym, co we mnie złe. Pragnąłem znaleźć w sobie coś, co byłoby przyjazne łasce, ale do tej pory nie byłem w stanie znaleźć i odkryłem tylko, że wszystko we mnie buntuje się przeciwko Bogu.

Kiedy tak przechodziłem przez wioski w hrabstwie Cambridge, aby głosić kazania i odwiedzać ludzi, często było mi bardzo smutno, kiedy, zwłaszcza w ubogich wiejskich chatkach, widziałem wiszące na ścianach rzymskokatolickie obrazy. Myślę, że dlatego wisiały u nich na ścianach bo były w miarę ładne i bardzo tanie. Ku mojemu przerażeniu, zobaczyłem nawet obraz, na którym Bóg Ojciec był przedstawiony jako stary człowiek, straszny obraz, by o nim wspominać; a jednak wisiał w wiejskich domach Anglii. Miejsmy na uwadze to, że Pan wyraźnie nakazał nam, abyśmy nie robili żadnych obrazów ani Jego podobizn, ani abyśmy w żaden sposób nie próbowali przedstawiać Jego natury! Każda próba takiego postępowania jest nieposłuszeństwem, a nawet bałwochwalstwem. Zasmuciła mnie również niewiedza mieszkańców wioski na temat drogi zbawienia. W jakiś sposób zakorzeniło się w ich umysłach, że nie mogą być zbawieni, ponieważ byli analfabetami. Kiedy pytałem ich o cokolwiek na temat osobistego zbawienia, otrzymywałem odpowiedź: „O Panie, ja przecież nie otrzymałem żadnego wykształcenia”. Uznali to za wystarczające usprawiedliwienie i dla tego nie pozbyli się własnego grzechu i nie zaufali Zbawicielowi. Właśnie ci nieuczeni ludzie, nie muszą zostać bez Chrystusa.

O pewnym starożytnym greckim filozofie mówi się, że nad swoimi drzwiami napisał takie zdanie: „Tylko wykształceni mogą tu wchodzić”.

Ale Chrystus napisał nad swoimi drzwiami coś zupełnie przeciwnego: „Niech wejdzie tu ten, kto jest prosty”. Mogę zaświadczyć, że wielu z tych prostych, wiejskich ludzi przyjęło zaproszenie swojego Zbawiciela i to było cudowne widzieć z jaką pewnością oni potem przyswajali sobie prawdy wiary. Wielu z nich stali się prawdziwymi mistrzami w nauczaniu Bożych prawd.

Czasami myślałem, że gdyby tytuł mieli tylko ci, którzy na niego zasłużyli, wiele tytułów zostałoby utraconych. Wiele tytułów trzeba by było nadać tym, którzy są od

pługa lub stoją przy stole warsztatowym, bo często chłop ma więcej duchowości w swoim małym palcu niż nasi współcześni duchowi w całym swoim ciele.

„Ale czy duchowni nie rozumieją tego, co boskie?” - ktoś może zapytać. Tak, jeśli chodzi o literę, ale jeśli chodzi o Ducha i życie, wtedy znaczy DD (= Doctor of Divinity= Doktor Teologii) często oznacza to podwójne D – podwójnego głupca.

Na samym początku mojej posługi w Waterbeach miało miejsce zabawne zdarzenie, którego nigdy nie zapomnę. Pewnego dnia zostałem zaproszony przez dżentelmena, który był burmistrzem w Cambridge, a który często próbował korygować moje młodzieńcze błędy. Zapytał, czy ja rzeczywiście powiedziałem członkom mojego zboru, że kiedy kieszonkowiec pójdzie do nieba, to okradnie aniołów ze wszystko, co mają w swoich kieszeniach.

„Tak, proszę pana” – odpowiedziałem - „Powiedziałem im, że jeśli byłoby to możliwe bezbożnemu człowiekowi dostać się do nieba bez zmiany jego grzesznej natury, nie byłby tam w niebie lepszy niż tutaj. A potem, jako przykład, powiedziałem, że złodziej, gdyby wszedł pomiędzy uwielbionych, nie byłby tam lepszy niż tutaj. Wśród uwielbionych nie stanie się inny - nadal pozostanie złodziejem, który będzie chodził i okradał kieszenie aniołów!”

„Ależ, mój młody przyjacielu” - zapytał pan Brimley, bardzo szczerze - „Czy nie wiedziałeś, że anioły nie mają kieszeni?”

„Nie” - odpowiedziałem, tak samo poważnie - „nie wiedziałem o tym, ale cieszę się, że powiedziałeś mi o tym dżentelmen, który to wie. I postaram się to sprostować, jak tylko będę miał taką możliwość.”

W następny poniedziałek rano udałem się do sklepu pana Brimley'a i powiedziałem do niego: „Wczoraj postawiłem sprawę jasno, panie Brimley.”

„Jaką sprawę, o co chodzi?” - chciał wiedzieć.

„No, oczywiście ta sprawa z kieszeniami od aniołów!”.

„Co powiedziałeś tym razem?” - zapytał tonem, który brzmiał niemal rozpaczliwie w oczekiwaniu na to, co zaraz usłyszy.

„Och. Po prostu powiedziałem, że popełniłem błąd w moim ostatnim kazaniu, ale poznałem dżentelmena - burmistrza Cambridge, który zapewnił mnie, że anioły nie mają kieszeni. Muszę więc poprawić to, co powiedziałem, bo nie chciałem, żeby ktoś wrócił do domu z błędnym wyobrażeniem o niebie. Dlatego więc, chcę powiedzieć, że złodziej, jeśli dostałby się do nieba i byłby między aniołami bez zmiany swojej starej natury, próbowałby ukraść aniołom pióra z ich skrzydeł!”

„Nie powiedziałeś tego naprawdę, prawda?” - chciał pan Brimley wiedzieć. „Oczywiście, że to powiedziałem” – odpowiedziałem - „W takim razie ja” - wykrzyknął - „nigdy więcej nie będę próbował cię

poprawiać." To było dokładnie to, co chciałem, żeby powiedział.

Pewnego razu podczas mojego pobytu w Waterbeach miałem przed sobą śpiące zgromadzenie. Było to w niedzielne popołudnie - te niedzielne popołudniowe nabożeństwa w naszych angielskich wioskach są zazwyczaj ogromnym marnotrawstwem energii. Pieczeń wołowa oraz budyń ciężko leżały na duszach słuchaczy, a sam kaznodzieja był sparaliżowany w swoim myśleniu, ponieważ ta godzina należy do trawienia. Ludzie za dużo zjedli podczas obiadu, więc przyszli do kaplicy zmęczeni i ociążali. Nie minęło wiele czasu i wielu z nich zasnęło. Próbowałem więc starym sposobem ich obudzić. Krzyknąłem z całych sił: „Ogień! Ogień! Ogień!" Niektórzy z moich słuchaczy, podrywając się z krzeseł, zadali mi pytanie: „Gdzie jest ogień?". Odpowiedziałem na nie, podobnie jak robili to inni kaznodzieje w podobnych sytuacjach. „W piekle, dla grzeszników, którzy nie chcą przyjąć Zbawiciela".

Innym razem miałem trudności zupełnie innego rodzaju. Wygłosiłem kazanie w niedzielę rano i zjadłem obiad z członkiem zgromadzenia, jak to było w moim zwyczaju. Popołudniowe nabożeństwo zakończyło się późno i tak, że krótko potem miało odbyć się poranne, tak, że ciężko było do niego przygotować swoją duszę, zwłaszcza, że południowy posiłek, choć konieczny, stanowił jednak poważną niedogodność, jeśli potem potrzebny był jasny umysł. Ostrożnie ułożyłem plan diety i w ten sposób pozostawałem w dość dobrej kondycji. Nagle zdałem sobie sprawę, ku mojemu wielkiemu przerażeniu, że zgubiłem wątek mojego kazania. Po prostu nie mogłem go znaleźć. Nawet gdy mocno wyęczałem swój umysł, nie mogłem sobie przypomnieć o czym miałem głosić. Czasu było coraz mniej, wybiła ostatnia godzina. Nieco zdenerwowany, powiedziałem chłopom, u których gościłem, że nie pamiętam, co miałem im dzisiaj głosić.

„Och" - powiedział jeden - „to nie ma znaczenia. Jestem pewny, że będziesz miał dla nas dobre słowo." W tym samym momencie żarzący się kawałek drewna spadł z paleniska i wylądował u moich stóp. Dym podniósł się pod samą twarz.

„Och, widzisz“ - powiedział gospodarz - „i tu masz swój tekst“ - „Czy nie jest to kłoda ogniowa, z ognia uratowana?“ Nie, pomyślałem, przecież jej nie uratowano, ale ona sama wypadła. A jednak był tu tekst, przykład i myśl przewodnia, z której można by zrobić jeszcze więcej. Rozświeciło się jeszcze bardziej i kazanie nie było gorsze niż moje lepiej przygotowane. To kazanie było nawet lepsze w najlepszym tego słowa znaczeniu, bo jedna czy dwie osoby zgłosiły się i wyszły po kazaniu do przodu i wyznały, że podczas tego południowego nabożeństwa zostali nawróceni.

W 1853 roku zostałem poproszony o przemówienie na dorocznym spotkaniu Szkoły Niedzielnej - Stowarzyszenia Szkółek Niedzielnich w Cambridge w ratuszu miejskim w Cambridge. Dwóch innych kaznodziejów miało w tym dniu także przemawiać, a ponieważ obaj byli starsi ode mnie, było rzeczą naturalną, że to ja powinienem mówić pierwszy. Nie pamiętam nic z tego, co wtedy powiedziałem, ale jestem pewien, że jak zwykle byłem bardzo bezpośredni i prosty. W każdym razie, nie sądzę, żeby w mojej mowie było coś, co usprawiedliwiłoby ostry atak pozostałych dwóch mówców, jaki przeprowadzili, gdy nadszedł ich czas. Szczególnie jeden z nich stał się bardzo osobisty i prawie obraźliwy w tym, co powiedział. Zrobił to bardzo bezpośrednio, uczynił to w związku z moim młodym wiekiem i powiedział - dla niego to było oczywiście najgorsze ze wszystkich oskarżeń - to wstyd - lepiej żeby młodzi ludzie stosowali się do biblijnych praktyk i pozostali tak długo w Jerycho dopóki nie urosną im brody, zanim będą próbować pouczać starszych.

Po uzyskaniu zgody przewodniczącego, przypomniałem słuchaczom, że ci, którzy musieli czekać w

Jerycho, nie byli młodymi ludźmi i nie były to małe dzieci, ale dorośli mężczyźni, którym wrogowie zgolili brody. Było to największą hańbą, jaką można sobie wyobrazić w tamtych czasach. W związku z tym, wstydzieli się wrócić do domu i czekali tak długo, aż ich brody znów urosły. Potem dodałem, że prawdziwą paralelę do tego wydarzenia jest kaznodzieja, który publicznie popadł w grzech i w ten sposób został uznany za niegodnego jego świętego powołania. W takim przypadku koniecznie musiał się wycofać na jakiś czas, dopóki jego reputacja nie zostanie w jakimś stopniu przywrócona. Tak się złożyło, że podałem dokładny opis człowieka, który tak bezpodstawnie mnie zaatakował, a konsekwencją tego było to, że wszyscy obecni, którzy znali okoliczności, z pewnością nigdy nie zapomną tego dnia.

Tego wieczoru był tam również dżentelmen z hrabstwa Essex - George Gould z Loughton, który bardzo mi współczuł w tej kłopotliwej sytuacji, i który również był pod wrażeniem tego, co usłyszał. Ten dżentelmen spotkał się nieco później w Londynie ze starym Thomasem Olneyem, jednym z diakonów kongregacji New Park Street w Londynie. Usilnie doradzał temu ostatniemu, aby spróbował zwerbować mnie na nieobsadzone stanowisko kaznodziei w tej kongregacji. Stał się on narzędziem w ręku Boga dla mojej przeprowadzki z hrabstwa Cambridge do metropolii Anglii.